

*Michał Witowski*

## ZAPALNIK I.A.L.

Wydaje mi się, że przez to szare życie idziemy jak małe dzieci wędrujące po Krainie Zaczarowanych Baśni. Wpatrujemy się w kolorowe tęcze, szukamy na ugorach kwiatu paproci, a po drodze mijamy Wielkie - Nieznane tak obojętnie, jak zeschnięte trawy lub omszałe kamienie. Ale po latach to wszystko znowu powraca, tak jak powracają do brzegu fale dalekiego oceanu. Przypominają się dawne przeżycia, dawne przygody i dawne dni.

Jedno z tych przeżyć interesuje mnie szczególnie i szczerze muszę się przyznać, że ani ja sam, ani nikt z moich znajomych do dzisiaj nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, które pojawiło się na ustach wielu osób w tamten słoneczny sierpniowy poranek. Zrozumiałem jednak wiele i wiem już, że dzięki ogromnej sile duchowej w nas drzemiącej, możemy czasem wkroczyć w jakiś inny, nieznaną świat.

Byłem bardzo młodym człowiekiem, gdy wybuchła II Wojna Światowa. Poszedłem na front i po jakimś czasie straciłem dosłownie wszystko, co miałem. Przepraszam — nie wszystko. Jeden z moich kolegów leśników ocalił moje osobiste dokumenty i stary myśliwski plecak, do którego prawdopodobnie załadował trochę żywności przed wyruszeniem na szlak wygnańca.

Papiery i listy ściślej związane z moim życiem przechowywałem, jak bezcenny skarb, w pięknej limbowej szkatułce. Były tam słynne swojego czasu telegramy, list ekspres i inne pamiątki o ogromnej wartości naukowej i osobistej. W straszliwej zawierusze wojennej, która szalała wokół nas, można było zapomnieć o wielu sprawach. Zupełnie się nie dziwię i nie mam żalu do kolegi Tadzia S., że zapomniał ocalić moją limbową szkatułkę. Co to wszystko wartało w tamtych tragicznych dniach? Tak zaginęły telegramy i list ekspres, które były i są największą zagadką mojego życia.

Podam tu jeszcze parę szczegółów, które pozwolą wczuć się trochę w atmosferę tamtych dni.

Szkolę Podchorążych Rezerwy Artylerii ukończyłem we Włodzimierzu Wołyńskim, a praktykę podchorążego odbywałem w 6 Pułku Artylerii Lekkiej w Krakowie. W tym czasie ojciec mój, Michał, dyplomowany inżynier leśnik, pracował jako nadleśniczy Lasów Państwowych w Muszynie, matka Helena przebywała we Lwowie u swoich rodziców, a moja koleżanka ze studiów leśnych, Maszka Utlińska — emigrantka z dawnej Mandżurii, z dalekiego Harbina — odbywała wakacyjną praktykę w jednym z zakładów naukowych Wydziału Leśnego SGGW w Warszawie.

Na wielkich manewrach wojskowych przeprowadzanych latem któregoś tam roku, na wschodzie przedwrześniowej Polski, wyjątkowo dużą rolę miały odegrać jednostki artyleryjskie różnego typu. W krytycznym dniu pełniłem funkcję dowódcy plutonu, czyli — mówiąc językiem szarego człowieka — kierowałem ogniem dwóch dział polowych 75 mm. Strzelaliśmy amunicją ostrą, bojową, a zapalniki używane w tej fazie strzelania znane były ze swej straszliwej

czułości. Były one tak czułe, że nawet mała przeszkoda na trasie lotu pocisku wywoływała natychmiastową eksplozję. Wydarzenia, które opisuję, przygniata już ciężar lat. W mojej pamięci zachowała się nazwa zapalnika I.A.L. i o takim zapalniku napisałem.

Ale oto i artyleryjski poligon!

Piękny słoneczny poranek. Chłód zbliżającej się już jesieni i ciepło sierpniowego dnia. Błękit nieba, srebrne pajęczyny i wrzosa. I te kwitnące wrzosa! A tuż obok przytulone do małych karłowatych sosenek zamaskowane działo. Ostre strzelanie rozpoczęliśmy wczesnym rankiem. Niezwykła wprost celność ognia artyleryjskiego i ogromna szybkość działania musiały wywołać uśmiech zadowolenia na ustach majora Boyle'a. Ale trwało to niedługo. Nagle coś się stało. Coś, co zepsuło całe zadanie bojowe. Przeklęty niewypał, jak lodowaty wichur, zdmuchnął z naszych twarzy radość poranka, a działowy Wańtuch soczyście zaklął.

Tak, to jego działo nagle umilkło. Niewypał!

Padają słowa komend, leci meldunek na punkt obserwacyjny do majora Boyle'a. Niewypał! Jak błyskawica przychodzi nowy rozkaz. Powtórzycie! I znowu padają słowa komend. Obsługa działa zwija się szybko. Bardzo szybko. Sprawdza dane i melduje gotowość. I znowu pada komenda — ognia! I znowu jakaś przeraźliwa cisza wierzająca mózg. Niewypał! Znowu padają rozkazy i leci nowy meldunek do punktu dowodzenia. I znowu przychodzi rozkaz. Powtórzycie! I znowu to samo, i znowu ostatnia bojowa komenda — ognia! I znowu cisza, i znowu meldunek do majora Boyle'a. Odpowiedź mogła być już tylko jedna i wszyscy ją znaleźliśmy, zanim dotarł do nas oficjalny rozkaz z punktu dowodzenia. Wyładować!

Stałem tuż za stalowym ogonem dział, obok kaprała Wańtucha, tak aby być bliżej żołnierzy i tego wszystkiego, i wydałem działonowemu ostatni rozkaz. Wyładować!

W tych chwilach, które nadchodziły, nie było w zasadzie niczego tragicznego. Było wprawdzie jakieś małe ryzyko, mógł nastąpić wybuch, mogło się wydarzyć jeszcze coś innego, ale czy z podobnym ryzykiem nie spotykamy się prawie co dnia, nawet siedząc w autobusie, pociągu czy też samolocie? Sądzę, że tak. Gdy umilkł rozkaz Wańtucha, zobaczyłem jeszcze, jak zamkowy energicznym obrotem zamka otworzył komorę nabożową dział, spostrzegłem wysuwający się nabój i wyciągnięte ręce ładowniczego, usiłującego go przechwycić. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego nagle postać ładowniczego jakby drgnęła, jakby skuliła się i załamała. Widziałem z przerażeniem, jak spomiędzy jego wyciągniętych rąk wypada nabój, jak leci na stalowy ogon dział, a zdrtwiałe ręce żołnierza zawisają skamieniałe w powietrzu.

Nie było już czasu na nic. Dosłownie na NIC. Ani na najkrótszą komendę świata, ani na wypowiedzenie choćby jednego słowa. Na nic. Mogła się zrodzić jeszcze jakaś błyskawiczna myśl, w jakimś tam małym ułamku sekundy. To wszystko ...

Tej sparaliżowanej ciszy nie rozerwał jednak wybuch — nie było błysku. Powoli podniosłem wtedy rękę do góry i powitałem powracające życie. Po sekundzie, a może dwóch, wolno zbliżyłem się do naboju. Patrząc — leży przyczajony na piachu, a zapalnik I. A.L., jakby specjalnie ułożony jakąś troskliwą ręką, zawisł dokładnie nad

otworem małego zagłębienia w ziemi o średnicy około 20 cm. Przeleciał koło stalowego ogona działa w odległości kilku, a może kilkunastu milimetrów i wylądował w jedynym miejscu, które się do tego nadawało. Innych podobnych miejsc już nie było.

W zasadzie moje opowiadanie mogłoby się już zakończyć, ale to jeszcze nie wszystko. Kiedy za jakiś czas przyniesiono nam pocztę połową, doręczono mi dwa telegramy i jeden list polecony ekspres. Było w tym coś niesamowitego. Dwa telegramy miały prawie jednakową treść. „Czy jesteś ranny — natychmiast oddepeszuj.” Jeden telegram nadał mój ojciec w Muszynie, drugi koleżanka Masza w Warszawie, a list ekspres, nadany przez matkę we Lwowie, długi i jakże rozpaczliwy, wzywał mnie również do natychmiastowej odpowiedzi na jej zapytanie o stan mojego zdrowia.

O ile ktoś potrafi w jakiś logiczny sposób wytłumaczyć mi to wszystko, to bardzo o to proszę. W ostatnim ułamku sekundy darowanego mi życia nie miałem już czasu pomyśleć o żadnej z tych trzech osób. Możliwe, że pomyślałem: ŚMIERĆ. Nie wiem. Jedno jest pewne, że nadałem jakiś rozpaczliwy sygnał, który został przejęty i zrozumiany przez trzy osoby znajdujące się w trzech różnych miejscowościach, odległych od siebie o setki kilometrów. Że taki sygnał był, to jest pewne. Potwierdzają to w sposób wykluczający wszelkie dyskusje dwa telegramy i list ekspres. Analiza opisanych wydarzeń nie jest sprawą prostą.

Mam swój własny pogląd na to wszystko, ale uważam, że jest to problem zbyt skomplikowany i zbyt poważny, by próbować wyjaśniać go w ten lub inny sposób, przed zapoznaniem się z naukową stroną tego zagadnienia. Rozpaczliwy sygnał jakiegoś statku, który na bezkresach oceanu natrafia niespodziewanie na zabłąkaną minę i po jej wybuchu zaczyna gwałtownie tonąć, może tylko w pewnym stopniu przypominać historię zapalnika I.A.L. Ten tonący statek ma do swojej dyspozycji radio, a sygnały SOS mogą być przejęte przez wiele różnego rodzaju stacji odbiorczych. Szanse ratunku mogą być większe lub mniejsze, ale teoretycznie w jakimś tam procencie istnieją.

W historii zapalnika I.A.L. szansy ocalenia ze strony innych ludzi już nie było. Nie było też ani radia, ani stacji odbiorczych.



Ale było coś innego. Było Wielkie  
- Nieznane.

Michał Witowski (w środku) na zgrupowaniu w Stanisławowie (1938 r.). Pierwszy od lewej p. Swinecki — również z Muszyny (z archiwum Bogdana Witowskiego)